Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 9 (1583) Warszawa, wtorek 31 stycznia 1967 r. Cena 50 gr

W DNIU BABCI

Choć na dworze sroga zima
każda babcia kwiat otrzyma...

— powiedzieli sobie w Ełku, i w niedzielę 22 stycznia, największa sala Powiatowego Domu Kultury wypełniła się sędziwymi mieszkankami tego pięknego mazurskiego miasta.

O Dniu Babci — czytaj na str. 8

GŁOS W DYSKUSJI KLUBU NASTOLATKÓW

POSTĘPUJEMY JAK ĆMY

CAŁKOWICIE zgadzam się z „Czternastolatką". Postępujemy jak ćmy, które tracą życie, idąc w ogień, za światłem.

Chcemy być samodzielni, walczymy o to z rodzicami, ale sami sobie zaprzeczamy np. odpisując lekcje, a po pewnym czasie stwierdzamy z rozpaczą, że nie potrafimy odpowiedzieć na żadne z pytań profesora, nie potrafimy rozwiązać najprostsze zadania.

Ja też tak postępowałam, także ściągałam, ale skończyłam z tym. I myślę, że naprawdę dobrze jest opamiętać się w porę.

Podobnie jak autorka listu — „Czternastolatka", uczę się dobrze. I wpadam w tzw. „szewską pasję", gdy na klasówce nie mogę nic zrobić, bo „koleżanki" z tyłu, przodu i boku „są łaskawe" szeptać natarczywie: „Jak to zrobić?". Czy to czas na tłumaczenie? Raz zdenerwowałam się tak, że nic nie napisałam.

Uważam, że temat ten powinien być poruszony na lekcjach wychowawczych, zarówno w szkołach podstawowych jak i w średnich, a zwłaszcza w tych, które kształcą nauczycieli. (bs)

LIDKA z JELENIEJ GÓRY

Foto: W. Hudon

KOCI KRÓL

ciekawe

Oto szczyt kociej urody, kot nagrodzony najwyższym odznaczeniem na międzynarodowym konkursie piękności kotów. Uczestniczyły w tym konkursie koty Europy i Ameryki. Koronacja odbyła się w paryskim hotelu „Continental".

„RUDY" ZNÓW RUSZY DO BOJU

KIEDY odnaleźli go, „Rudy" był w fatalnym stanie. Zaryty gąsienicami w ziemi, poszarpany odłamkami, z rozbitym silnikiem... Nie po to jednak dali mu kiedyś imię „Rudy" i odcisnęli swoje dłonie na jego pancerzu, by teraz, w tym rozpaczliwym stanie zostawić go własnemu losowi.

Oto Janek zdejmuje już pas, Gustlik i Grigorij zawinął rękawy, przystępując do remontu swego czołgu. Wnet „Rudy", z nowym już silnikiem, ruszy znów na bojowy szlak.

W następnym numerze kolejny fotos z filmu.

Foto: Romuald Kropat

PIES — GEOLOG

Radziecki kolejarz, Michaił Szczadieja, jest właścicielem psa „Murata", który wyróżnia się niezwykłymi zdolnościami wykrywania złóż pożytecznych minerałów zalegających w ziemi do głębokości 8 metrów. Swoje niezwykłe zdolności odróżniania i wyszukiwania kawałków minerałów „Murat" zademonstrował na pokazie w szkole tresury psów w Moskwie. Po tym egzaminie odkomenderowano „Murata" wraz z grupą geologów do Karelii. Tam bezbłędnie wywąchał na bagnistych terenach złoża minerałów. W ciągu dwóch miesięcy pracy czworonożny geolog nie pomylił się ani razu.

SETNA ROCZNICA

31 stycznia br. mija 100 lat od urodzin generała Mariusza Zaruskiego (1867-1941) — współtwórcy i pierwszego komandora Polskiego Jacht-Klubu, twórcy Komitetu Floty Narodowej, z którego funduszów zakupiono m. in. „Dar Pomorza". Był też inicjatorem i organizatorem Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego (obecnie GOPR).

Znany jest jako pisarz i publicysta, który ostatnie lata swego życia poświęcił sprawie zbliżenia młodzieży polskiej do morza. Był autorem pierwszego w dziejach Polski podręcznika żeglugi morskiej i pierwszym kapitanem flagowego statku harcerskiego „Zawiszy Czarny", w latach 1935-1939.

Jego liczni wychowankowie, uczestnicy słynnych rejsów szkoleniowych „Zawiszy Czarnego", pełnią dziś odpowiedzialne funkcje w gospodarce morskiej i wodnej. Wiele drużyn harcerskich nosi jego imię, a wielu harcerzy-żeglarzy pamięta jego słynną komendę, jaką wydał niedoświadczonemu sternikowi na „Zawiszy Czarnym":

„KURS NA SŁOŃCE —
TAK TRZYMAĆ!"

Najwyższa wieża świata

W CENTRUM telewizyjnym w Moskwie dobiega końca budowa najwyższej na świecie wieży. Osiągnęła już ona wysokość paryskiej wieży Eiffla, a jesienią tego roku, kiedy całkowicie zakończy się jej budowę, sięgnie 533 metrów i będzie najwyższą konstrukcją budowlaną na świecie.

Na żelbetowym pionie wysokości 380 metrów osadzona zostanie metalowa antena długości 148 metrów. Z tej wysokości nadawać się będzie program telewizyjny bezpośrednio bez dodatkowych stacji przekaźnikowych, dla całego okręgu moskiewskiego. Od 1968 r. z wieży tej będzie emitowany program telewizji kolorowej.

Budowa wieży budzi wielkie zainteresowanie w świecie technicznym. Wieża waży być będzie 32 tysiące ton. Oprze się ona na żelbetowym fundamencie szerokości 9,5 i wysokości 3 metrów. Fundament osadzony jest w gruncie na głębokości 4,65 m.

W najniższej części wieży, nad przestronnymi hallami pomieści się aparatura nadawcza. Cylindryczne zgrubienie na wysokości ok. 350 m. to pomieszczenia restauracji.

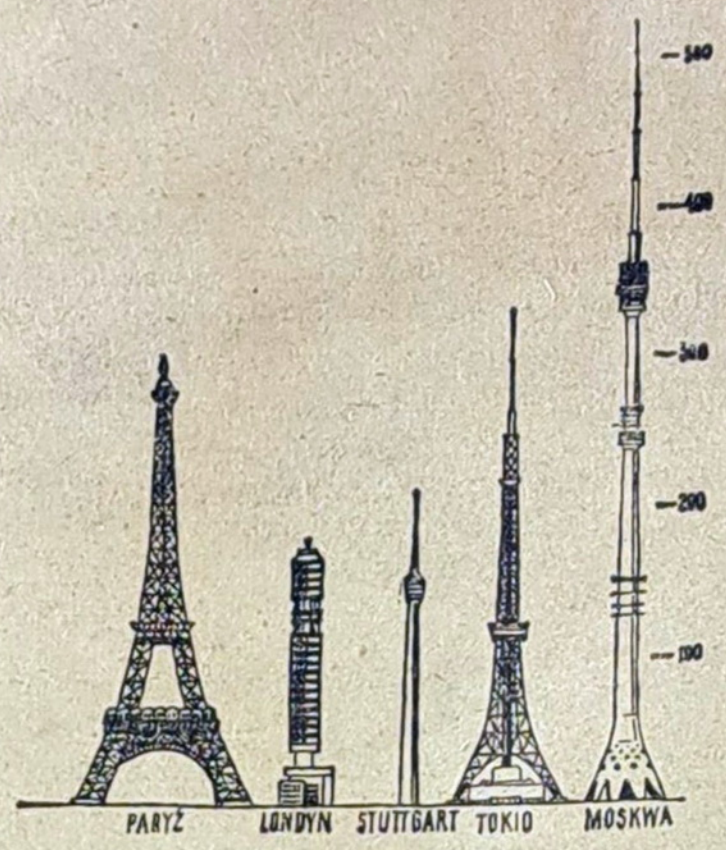

Konstruktorzy przewidzieli w obliczeniach siłę wiatru dochodzącego na wysokości wierzchołka wieży do 43 m na sek. Wiatr jednak nie stanowi niebezpieczeństwa, chociaż spowoduje odchylenie wierzchołka o ok. 10 m.

Na rysunku pokazujemy najwyższe budowle świata w zestawieniu z wieżą telewizyjną (z prawej strony) wznoszoną w Moskwie. (jk)

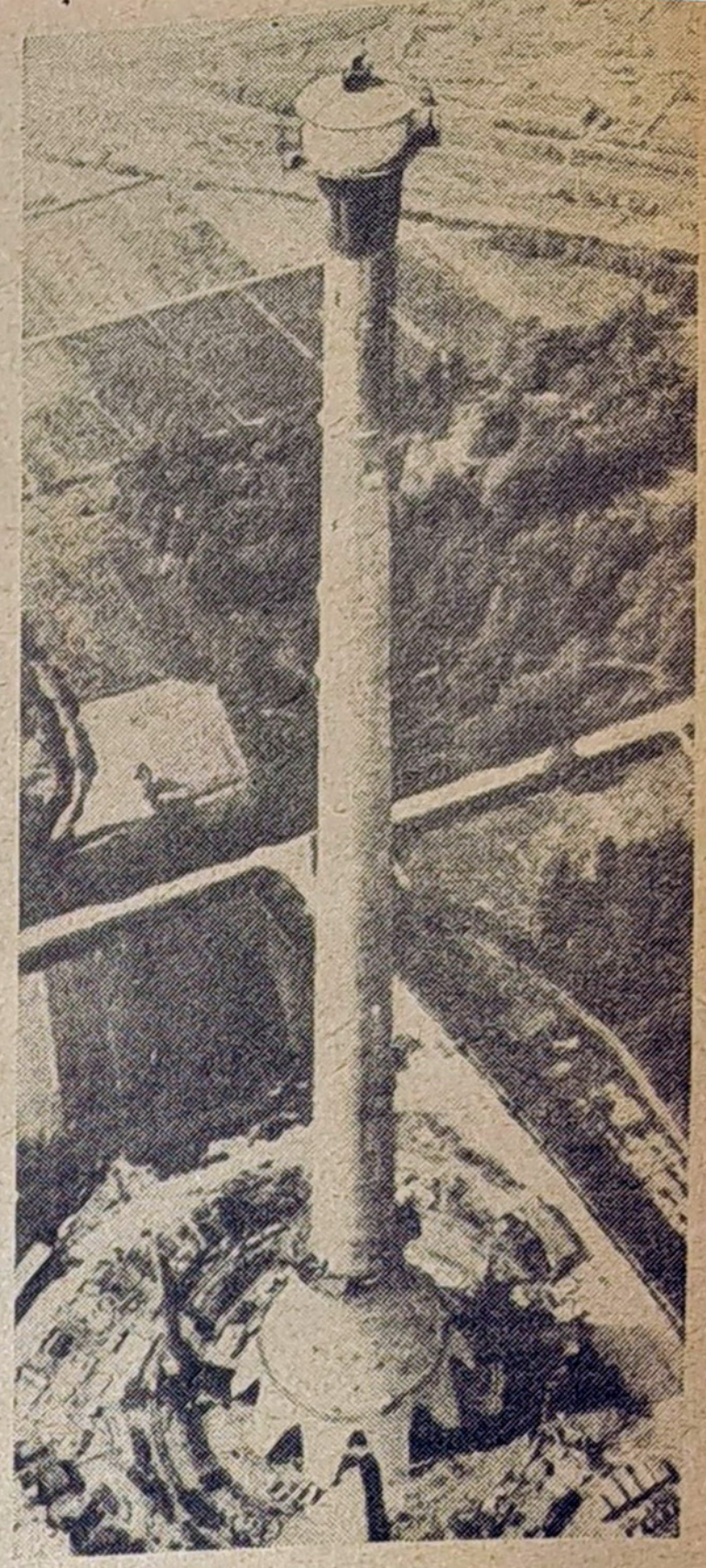

Srebrny OBOL

TWARZ odwróconej profilem Greczynki jest wypukła i mimo tylu lat srebrny pieniążek nic nie stracił w swoim rysunku. Jest śliczny, niezupełnie okrągły, wielkości naszych 10 groszy. Ponieważ jego najstarszej historii nikt, nawet najwspanialszy historyk i numizmatyk nie mógłby odtworzyć, ja opowiem jego dzieje najnowsze.

Kiedy byłam mała, nie wiedziałam, że jest u nas srebrna moneta, którą nazywa się obol i stanowi jedną szóstą część drachmy. Całkiem słusznie nie pozwalano mi się nią bawić, bo przecież mogłabym ją gdzieś zgubić, albo nawet połknąć. Znam takiego — jest w naszej klasie ten chłopak — co gdy był niemowlęciem, łyknął własny smoczek i w jego wózku znaleziono tylko plastykowe kółeczko! Bo to był taki smoczek „spacerowy", z kółkiem.

Słyszałam kiedyś, że greckie przekupki trzymały drobne monety w ustach. O higienie i zarazkach nie miano wtedy pojęcia, a greckie szaty nie były zaopatrzone w kieszenie. Wcale więc nie dziwię się tym handlarkom.

Srebro jest dość miękkie, pieniążek powinien więc być wytarty, a nie jest... Może zatem obol przeleżał gdzieś w piasku? Może go zgubiono? Może... Mniejsza z tym zresztą, mam tyle teorii na jego temat...

Do domu mojej matki obol trafił w czasie wojny. Dla mnie są to czasy odległe, ale starej greckiej monecie minęły jak chwilka. Matka pochodzi ze wsi, w czasie wojny miała lat kilkanaście i nosiła warkocze. Jak większość pań nie lubi mówić o swoim wieku, toteż nie powiem, ile wtenczas miała lat, gdy w domu hodowała dzikiego liska.

Wbrew temu, co się sądzi o lisach, ten mały rudzielec przyniesiony z lasu nie był podstępny, chytry i w ogóle... Był trochę nieufny, ale ostatecznie izba, w której kazano mu spędzić dzieciństwo, mogła mu nie odpowiadać! Dom dziadków, rodziców mamy, był stary i drewniany, jak większość domów na Lubelszczyźnie w tamtych czasach. Stał tuż pod lasem, na tak zwanej kolonii, z dala od wioski i gościńca. W domu były tylko dwie izby: kuchnia i pokój. W kuchni zamiast podłogi z desek była ubita glina, klepisko. Pod łóżkiem babki lisek więc zrobił sobie norę i chował się w niej, ilekroć przyszedł ktoś obcy. Kiedy byli sami swoi, biegał po kuchni i pozwalał się głaskać, jak psiak.

*

BYŁO to na rok przed zakończeniem wojny. U dziadków miał nocować pewien człowiek z miasta, który co jakiś czas przyjeżdżał do wioski. Nie mówiło się o tym głośno, ale było jasne, że bywał tu, aby się kontaktować z oddziałem partyzantów. Dostarczał im jakichś informacji, a może przywoził broń lub rozkazy... Nocował przeważnie u dziadków ze względu na bliskość lasu i odległość od wioski.

Niemcy zaglądali do wsi dość rzadko. Do miasta prowadziło 26 km marnej drogi, z tego połowa, bardzo piaszczystej, wiodła przez lasy. Autobusy oczywiście wtedy nie kursowały i jedyny środek lokomocji stanowiły furmanki.

KLUB NASTOLATKÓW — DALSZE GŁOSY W SPRAWIE ODPISYWANIA ZADAŃ

CZY MIAŁAM WYDAĆ KOLEŻANKĘ?

„Czternastolatko"! Częściowo zgadzam się z Twoją wypowiedzią, ale niezupełnie. Mnie się często zdarza nie odrobić zadania, a to z różnych powodów. Nie umiałam, nie zdążyłam, a wreszcie — nie chciało mi się. I tak bywa. Chodzę do klasy tylko żeńskiej, niezbyt zgranej. U nas „odwalanie" zadań do niedawna było ciężkim przewinieniem i szło się do pani na skargę. Czy Ci się to podoba bo chyba tego przecież nie nazwiesz solidarnością?

Opiszę Ci nieprzyjemne zdarzenie, w którym ja byłam główna osoba. Przyszłam do szkoły z nieodrobionym zadaniem. Wiedziałam też nie miała, bo było dosyć trudne. Dosiadłam się do grupki odpisujących. Nie zdążyłam całkiem odpisać bo zadzwonił dzwonek. Do klasy weszła wychowawczyni, mająca pierwszą lekcję. Niestety, tak się złożyło, że właśnie mnie wyrwała do pytania. Obejrzała zadanie i spytała, od kogo odpisałam. Ja milczałam, bo nie chciałam „wsypać" koleżanki. Wtedy pani spytała się klasy, kto mi dał odpisać. Głuche milczenie.

Nauczycielka pytała każdą z osobna, czy dała mi odpisać. Wezwała moje koleżanki siedzące naokoło mnie. Okazało się, że nie tylko ja odpisywałam. Żadna nie chciała powiedzieć czy i od kogo odpisywała. Pani zaczęła na mnie krzyczeć i zagroziła obniżeniem stopnia z zachowania na dostateczny i z przedmiotu na niedostateczny.

Ja nie wiedziałam, co zrobić, zgodziłam się z tym, ale „R" nie wsypałam. Powiedz, „Czternastolatko", i inni niech też napiszą, co ja miałam zrobić. Bo dotąd nie wiem. Czy miałam wydać koleżankę?

ZNIECHĘCONA"

Foto K. Czapiński

KTO ODPISUJE — JEST ZŁYM KOLEGĄ

W naszej klasie jest podobnie, a może i tak samo, jak w klasie „Czternastolatki". Chłopcy uważają tego za najlepszego kolegę, który da odpisać lekcję, który podpowie lub nie wyda.

Dziwi mnie tylko to, że koledzy często proszą, by dać im odpisać lekcję dziecinnie łatwą, np. „wybrać ze słownika kilka wyrazów", czy też „wpisać podobne wyrazy w odpowiednie miejsca" — to dotyczy jęz. rosyjskiego. Zdarza się nawet, że niektórzy chcą odpisywać fragmenty z podręczników, mając swoje podręczniki.

Jeżeli ktoś nie da odpisać, wówczas otrzymuje miano lizusa. Ja, aby uniknąć takich przezwisk i nie utracić przyjaciół, staram się wychodzić z klasy, gdy mam „klientów" do rosyjskiego czy historii.

Takim, którym nikt nie pomógł odrobić pracy domowej, ja udzielam wyjaśnień (ustnie). Jednak i te sposoby nie wystarczają, by oprzeć się „zapotrzebowaniu". Często na lekcji wychowawczej poruszana jest sprawa odpisywania. To jednak wcale nie pomaga.

Moim zdaniem złym kolegą jest ten, który odpisuje.

STANISŁAW Z KRAŚNIKA

BRAK IM ODWAGI

Chodzę do klasy VII i uczę się dobrze, czasem zdarza się, że nie przygotuję zadania w domu. Zawsze odrabiam je wtedy w szkole, korzystając z każdej wolnej chwili na przerwie.

Każdy pomyśli, że nie postępuje mądrze, gdyż łatwiej ściągnąć od kolegi lub koleżanki.

Ale ja obawiam się złej solidarności, zwłaszcza że istnieje u nas taki oto zwyczaj: osoba „y" z brakiem zadania odpisuje rozwiązanie od osoby „x", potem ten kto odpisał — musi się zrewanżować. I tak w kółeczko, zamknięty krąg.

Bywa też tak, że na lekcji ktoś „dowcipny" wtrąca swoje trzy grosze. Klasa wybucha śmiechem, a gdy nauczyciel pyta o sprawcę, wszyscy w „poczuciu solidarności" milczą.

Zdarza się, że kiedy nauczyciel jest odwrócony do tablicy — uczniowie zaczynają swoje popisy. Znów ta sama scena, nikt nikogo nie wyda, bo przecież klasa jest solidarna.

Nie lubię dawać odpisywać zadań. Mogę pomóc, wytłumaczyć, ale nie potrafię się pogodzić, że ktoś szybko odpisuje rozwiązanie, nad którym ja się męczyłam.

Nie lubię też ukrywać osób winnych, milczeć solidarnie, ukrywać leniów i wagarowiczów.

Myślę, że gdyby przeprowadzić w klasach rozmowy na ten temat, to okazałoby się, że wiele osób popiera moje zdanie. Tylko milczą, bo boją się złej reakcji w środowisku swojej własnej klasy.

„GDYNIANKA"

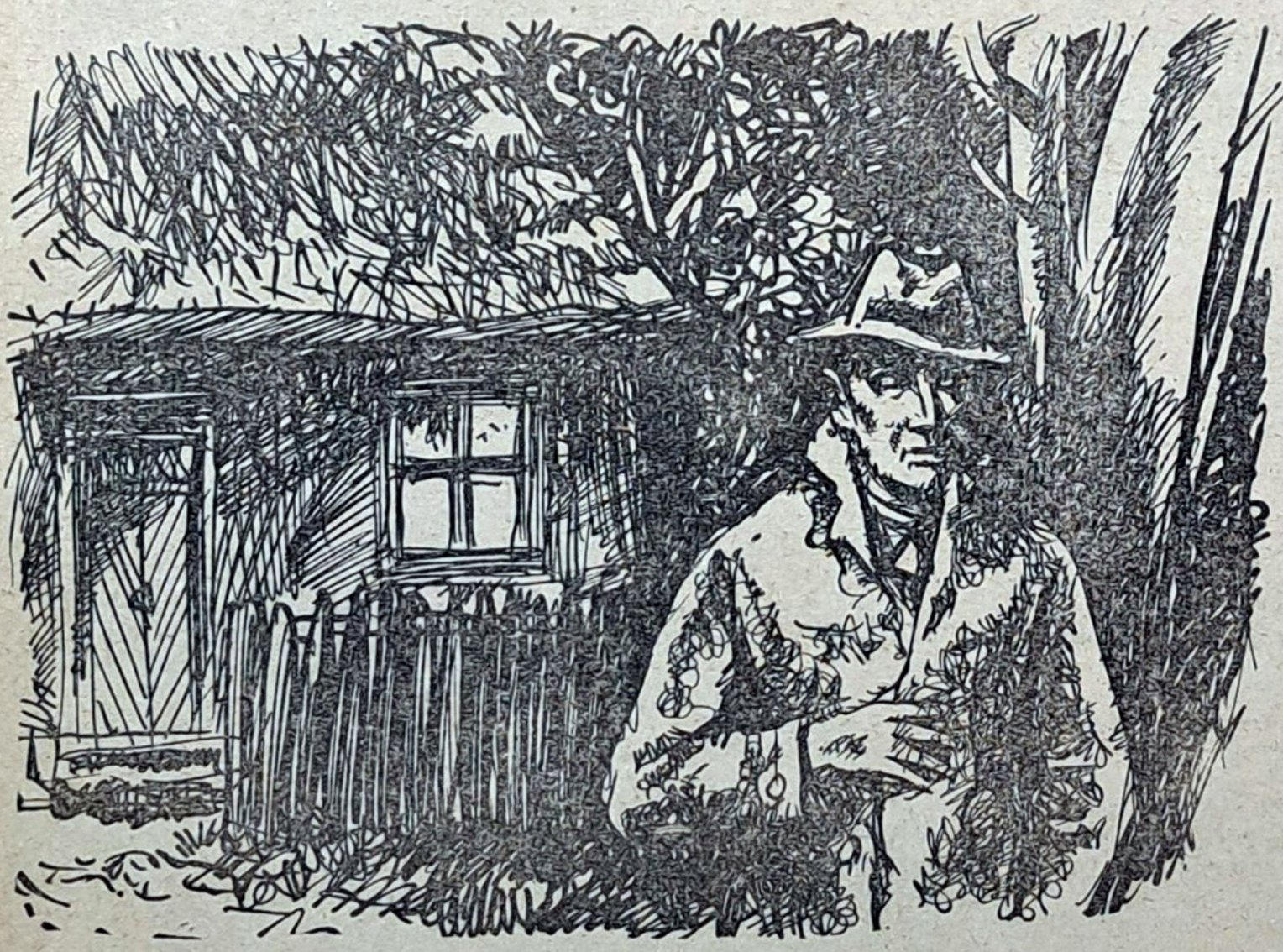

Nie każdy jednak chciał gnać konia taki szmat drogi, toteż obcemu niełatwo było się dostać do miasta.

Tej niedzieli przez cały dzień padał deszcz, a wieczorem rozszalała się wprost ulewa. Potem jednak uspokoiło się, wiatr przycichł i nawet ustał szum drzew.

Ten człowiek przyszedł na nocleg późnym wieczorem. Czekali na niego z kolacją. Był mokrzuteńki od deszczu i bardzo zmęczony. Fura miała jechać już o 5 rano, jechał gospodarz, który nazywał się Kowieski i mieszkał w samym środku wioski.

Budzika w domu nie było, nie było w ogóle żadnego zegarka. Stara „cebula" dziadka zepsuła się kilka miesięcy temu i nawet silne potrząsanie nie chciało jej uruchomić. Babcia miała jednak tak czujny sen, że zegarek właściwie był niepotrzebny.

— Koguty idź budzić o świcie, ludziom daj pospać! — mawiał podobno dziadek, który był śpiochem i często miał babci za złe, że go zbyt wcześnie budzi. A pracy w gospodarstwie było przecież sporo!

Tego deszczowego niedzielnego wieczora babcia czuła się jakoś niewyraźnie:

— Niech mi pan da swój zegarek — powiedziała do tego pana, kiedy wchodził do pokoju, gdzie miał przygotowane posłanie.

— Będę dokładnie wiedziała, która godzina, to za wcześnie nie obudzę... — tłumaczyła, gdy gość spojrzał na nią ze zdziwieniem. Odpiął

D.c. na str. 4—5

nadal chodzą na zawody. Zaprosiliśmy ich, aby porozmawiać o tym, co im i nam w sporcie się nie podoba. Był to właśnie okres, kiedy wśród kibiców na trybunach stadionów często zrywały się gwizdy. Mocno przeżyłem kilka takich scen. Raz, nie znający się na sporcie kibice, wygwizdali zagranicznego kolarza — zwycięzcę etapu w Wyścigu Pokoju, ponieważ liczyli na zwycięstwo Polaka. Innym razem publiczność bokserskiego meczu zachęcała miejscowego pięściarza do znokautowania świetnego zawodnika, skandując: „Bij mistrza". A gdy zachęcony okrzykami bokser nie

Właśnie ona, Irena Kirszenstein, uznana została za najlepszego polskiego sportowca roku 1966. Ci, którzy na nią głosowali, brali pod uwagę zarówno jej wyniki sportowe, jak i jej sportową postawę.

Foto M. Swiderski

Rycerze

STARSZY brat „Świata Młodych", redakcja dziennika „Sztandar Młodych", już od czterech lat wybiera tradycyjnie najbardziej dżentelmeńskiego sportowca roku. Niełatwo jest dokonać tego wyboru. Decydują bowiem nie wyniki sportowe — wspaniałe rekordy, zwycięstwa i zdobyte medale. Bierzemy pod uwagę jeszcze coś więcej — postawę na boisku i poza boiskiem. Nie wystarcza tylko fakt, że sportowiec dobrze biega czy gra, nie wystarcza nawet, że przestrzega przepisów i regulaminów. Szukamy takich zawodników, którzy wyróżnialiby się koleżeństwem, rycerskim zachowaniem wobec przeciwników, którzy nie tylko potrafią wygrać, ale również z uśmiechem przyjąć porażkę i złożyć gratulacje zwycięzcy. A to wszystko właśnie jest niewymierne i niejednokrotnie umyka uwadze widza...

Pamiętam dokładnie, w jaki sposób narodził się pomysł tego plebiscytu. Latem 1963 roku zaprosiliśmy do redakcji na dyskusję literata Tadeusza Konwickiego, filozofa Jana Strzeleckiego oraz socjologa Andrzeja Ziemilskiego. Podobnie jak my — dziennikarze sportowi „Sztandaru Młodych" — interesowali się oni sportem, chodzili i

był w stanie przeciwstawić się rywalowi, także pod jego adresem posypały się wyzwiska. Pamiętam, jak na trybunach szydzono z Janusza Sidły, ponieważ jego oszczep nie przekroczył 80 metrów!

Dyskutowaliśmy, dlaczego tak się dzieje. I doszliśmy do wniosku, że za mało pokazujemy piękno sportowej walki, za mało zwracamy uwagę na zasadę uczciwości w sporcie. Widzowie przyzwyczaili się żądać zwycięstw i medali. A przecież ci sami kibice w pełni potrafią docenić hart i rycerską postawę, niejednokrotnie oklaskują biegacza, który ostatni przychodzi do mety, czy boksera, gratulującego po przegranej zwy-

Pierwszy z prawej, to Werner — rycerski w walce na bieżni i na co dzień, w życiu.

Foto M. Swiderski

C.d. ze str. 3

pasek zegarka z ręki i podał go babci, mówiąc:

— Chyba pani chora, budziła mnie pani tyle razy...

Zegarek położyła babcia na półeczce wiszącej nad łóżkiem. Kiedy w domu się uciszyło, a babcia zdmuchnęła naftową lampkę, tykanie zegarka stało się wyraźne. Towarzyszyły mu pojedyńcze krople deszczu, które stukały w drewnianą okiennicę. Poza tym cisza była jak po burzy.

*

LIS na widok obcego przybysza czmychnął był do swojej krvjówki. Teraz jednak zaintrygowany nieznanym dźwiękiem mechanizmu wysunął nosek i nadstawił uszu. Wyjrzał spod łóżka. Tik — tak — tik — tak... Cóż to mogło być? Zafascynowany przysiadł przy łóżku a potem...

Babcia już usypiała, gdy poczuła jak coś kosmatego ociera się jej o rękę.

— Idź spać, Rudek — mruknęła i strzepnęła dłonią. Po chwili zapadła w sen.

Ale Rudek nie poszedł spać. Nastawiwszy spiczaste uszy nadsłuchiwał. Wreszcie ciekawość zwyciężyła w zwierzątku. Jeden skok na łóżko i zegarek ściągnięty z półki znalazł się w lisim pyszczku...

Babcia obudziła się nagle gdy lisie futerko musnęło ją po twarzy. Usiadła na łóżku i tknięta przeczuciem, sięgnęła ręką po zegarek... Na półce go nie było. Trzęsącymi się rękoma zapaliła lampę, zbudziła córkę, czyli moją mamę, i dawaj zaczęły odsuwać łóżko, aby się dostać do jamki lisa!

Zegarek tykał sobie spokojnie tuż przed otworem do lisiego mieszkanka. Tylko skórzany pasek był zaśliniony i nosił ślady zębów. A i koperta trochę była pogięta, ale mechanizm szwajcarski, solidny mechanizm zegarka nie przerwał swojej pracy!

— Na szczęście... — szepnęła babcia.

Lisowi nawet nie można było dać lania, bo schował się i tylko oczka mu błyszczały. Babcia była tak zdenerwowana tą przygodą, że długo nie mogła zasnąć. Co chwilę przykładała zegarek do ucha a potem znów głęboko wpychała go pod poduszkę. Sen przyszedł późno.

Kowieski pojechał więc z innymi pasażerami, którzy nadeszli na czas. Gość spał spokojnie, a chrapanie dziadka rozlegało się na cały dom. Kiedy babcia ich pobudziła było już dobrze po szóstej...

Rozegrała się awantura prawie bez słów.

— I to było jeszcze gorsze — wspomina mama.

Gość siedział milczący, babka poleciała doić krowę, a dziadek pognał na wieś, aby się dowiedzieć czy jakiś gospodarz nie wybrałby się jednak do miasta jeszcze dziś. Dziadkowie konia nie mieli.

*

MINĘŁO południe, nadszedł wieczór. Z dzisiejszej podróży, do miasta nic nie wyszło. Znowu zaczęło padać i padało tak, aż do samego wieczora. Furmanka była umówiona na jutro.

Srebrny OBOL

ciężcy. Publiczność lubi piękne i szlachetne gesty. I dlatego właśnie, aby zwrócić na nie uwagę, postanowiliśmy wybierać co roku najbardziej szlachetnego sportowca.

Mieliśmy na początku spore kłopoty ze znalezieniem właściwego tytułu, jakim chcieliśmy wyróżnić sportowców. Był projekt, aby przyznać tytuł MISTRZA FAIR PLAY, to znaczy „czystej gry", ale w końcu zdecydowaliśmy się przyznawać tytuł SPORTOWCA DŻENTELMENA.

Dżentelmen to **„człowiek honoru, przestrzegający obowiązującego kanonu moralności"**. Taką definicję podają: encyklopedia i słowniki wyrazów obcych. Celowo przypomniałem to określenie, bo z chwilą kiedy przystąpiliśmy do wybrania naszego pierwszego dżentelmena, wiele osób zaproszonych przez nas do głosowania wysunęło wątpliwości właśnie w tej sprawie KTO JEST DŻENTELMENEM W SPORCIE? A przecież do głosowania w naszym plebiscycie zaprosiliśmy kilkadziesięciu wybitnych znawców sportu — działaczy, trenerów, dziennikarzy, literatów, aktorów. Zarówno ludzi, którzy obserwowali sportowców z bliska, przebywali z nimi na boiskach, jak również tych, którzy śledzili ich wyczyny z trybun stadionów. Dyskutowaliśmy więc zaciekle przy kolejnych wyborach. A odpowiedzi na pytanie udzielali kolejno wybierani przez nas sportowcy.

Pozwólcie więc, że ich przedstawię i pokrótce przypomnę za co otrzymali nasze honorowe wyróżnienie.

1963 r. — ZBIGNIEW PIETRZYKOWSKI, czterokrotny mistrz Europy w boksie. Nasz pięściarz słynie z ogromnej siły i piorunującego ciosu. Nigdy jednak nie nadużył swej siły wobec przeciwników, nigdy nie dążył do nokautowania ich, a wobec słabszych i młodszych rywali zachowywał się w ringu i poza nim niezwykle rycersko.

Możecie powiedzieć: — Łatwo tak postępować takiemu, który jest bardzo mocny! Mylicie się. Rozmawiałem z Pietrzykowskim i zadałem pytanie na ten temat. Odpowiedział, że boks ma swoje reguły, że każdy, nawet najsłabszy pięściarz, wychodząc na ring liczy w skrytości ducha, że jakimś cudownym, niezwykłym ciosem powali słynnego rywala, że sam stanie się sławny. Inaczej by przecież nie wychodził do walki. I dlatego trzeba być bardzo uważnym, nie wolno lekceważyć przeciwnika, trzeba uważać i najłatwiej byłoby właśnie znokautować go zaraz w pierwszej rundzie, by pozbyć się kłopotów, ale przecież tym samym zrobiłoby się mu krzywdę, a być może przekreśliło jego karierę sportową.

1964 r. — EGON FRANKE, mistrz olimpijski we florecie. Nienaganne zachowanie na planszy nawet wtedy, gdy sędziowie krzywdzili go, przyznając trafienia przeciwnikowi. Skromność, koleżeńskość oto cechy, które wyróżniły tego szermierza. Franke zawsze stawiał wyżej interes zespołu w turniejach drużynowych niż sukces własny. Walczył do końca, nie oszczędzając sił na turnieje indywidualne.

1965 r. — IRENA KIRSZENSTEIN, rekordzistka świata w sprincie oraz **WALDEMAR BASZANOWSKI**, mistrz świata w podnoszeniu ciężarów. Wprowadziliśmy innowację i od tego roku postanowiliśmy przyznać wyróżnienie parze sportowców. Po raz pierwszy braliśmy w naszym plebiscycie przedstawicieli dyscyplin, w których nie ma bezpośredniej walki. Kirszenstein walczyła na bieżni tylko z czasem, Baszanowski zmagał się na podium tylko z ciężarem. Ale mimo to ich postawa, ich absolutna uczciwość w sportowej walce, zachowanie, skromność oraz naturalność mimo wielkiej sławy, umiejętność godzenia sportu z nauką i pracą zyskała im miano dżentelmenów.

1966 r. — EWA KŁOBUKOWSKA, mistrzyni Europy na 100 m oraz **JAN WERNER**, uczestnik mistrzowskiej sztafety 4 × 400 m. W tym ostatnim plebiscycie zmieniliśmy metodę wybierania i zwróciliśmy się bezpośrednio do sportowców. Wysłaliśmy listy do 100 mistrzyń i mistrzów. Nie zawiedliśmy się. Otrzymaliśmy od nich interesujące listy. W przeciwieństwie do poprzednio uczestniczących w naszej ankiecie — sportowcy doskonale wiedzieli, na czym polega dżentelmeństwo w sporcie. Mistrzyni Polski w tenisie, Danuta Wieczorkówna, tak napisała w swym liście:

„...Niełatwo jest być zawsze prawdziwym dżentelmenem. Często przecież trzeba, niestety, walczyć nie tylko z zawodnikami! W rachubę przecież wchodzą nieobiektywni sędziowie, różne nieprawidłowe „chwyty" trenerów i działaczy, opiekunów zawodników, przeciwników, często jednostronni kibice i wiele, wiele innych rzeczy. Stwierdzam, że zawsze i wszędzie poprawnie zachowujących się sportowców jest mało".

A oto co napisał doskonały szermierz, wielokrotny mistrz Polski we florecie — Witold Woyda:

„Wzrastający poziom zawodów sportowych, coraz bardziej wyśrubowane wyniki, materialne zaangażowanie zawodników i ogromny wysiłek, jaki wkładają w trening oraz starty — to czynniki, w obliczu których zachowanie podczas sportowej walki prawdziwej dżentelmeńskiej postawy staje się wielką sztuką".

Sportowcy głosowali na Ewę Kłobukowską głównie dlatego, że choć jest „wiecznie" drugą za Kirszenstein, zawsze gratuluje jej zwycięstwa i szczerze cieszy się z sukcesu koleżanki. Jana Wernera wyróżniono zaś za to, że choć miał najlepszy wynik na 400 m, bez słowa protestu zgodził się na start w biegu na 200 m, by rezerwować siły dla sztafety. Także i za to, że jest skromny, miły i koleżeński.

Przedstawiłem tu w dużym skrócie dzieje naszego plebiscytu. Na zakończenie mam do Was prośbę. Jeśli pójdziecie na mecz, czy zawody sportowe, patrzcie nie tylko na to, jak się strzela bramki i jak biegnie, ale również miejcie szeroko oczy otwarte na to, jak zawodnicy postępują. Bijcie im brawa nie tylko za zwycięstwa, ale za ich dżentelmeńską postawę. I napiszcie o szlachetnych, rycerskich gestach, które zauważycie, do redakcji Waszego pisma albo do „Sztandaru Młodych". Pomożecie nam tym samym w wyborze kolejnych sportowców-dżentelmenów.

TADEUSZ OLSZAŃSKI

Ewa Kłobukowska, choć w czasie zawodów walczy z niezwykłym zacięciem, zawsze jest koleżeńska, zawsze przestrzega zasad „czystej gry".

Foto. M. Szymkowski

STADIONÓW

Już po kolacji, gdy babcia brała się do ścielenia łóżek na noc, zastukał ktoś w okiennicę.

— To swój — babcia wyjrzała na dwór i wróciła z małą karteczką w dłoni.

— Od Kowieskich chłopak przyniósł — powiedziała. — To dla niego — wskazała głową na pokój, gdzie gość już szykował się do spania.

Po minucie drzwi od pokoju otworzyły się.

— Jak to dobrze, że ja nie pojechałem. Bardzo dobrze! — powiedział mężczyzna.

— A co się stało? — zapytał dziadek, bo babcia milczała myśląc, że to dalszy ciąg porannych nieprzyjemności...

— Dostałem od sąsiadki wiadomość. Byli po mnie. Gestapo było — wyjaśnił spokojnie i przytknąwszy ogieniek zapałki do trzymanej za rożek karteczki patrzył jak zwija się w mały spopielały rulonik.

Następnego dnia rano nie pojechał do miasta, lecz zabrał to co miał swojego i poszedł do lasu.

— Jestem spalony — powiedział żegnając się z dziadkami. Już nigdy nie wróci, chociaż to całkiem możliwe, że żyje i może kiedyś przyjdzie do naszego domu i opowie, co działo się z nim w tamtych dniach...

Odchodząc, dał mojej matce mały srebrny pieniążek — talizman, który jak twierdził, przynosi szczęście. Babka nie chciała, aby rozstawał się z tym pieniążkiem. Ale on się uparł i twierdził, że musi go tutaj zostawić koniecznie.

— Przypadek ocalił mi życie — powiedział. — To śmieszne i nikt mi nie uwierzy, że życie zawdzięczam lisowi... A co ja mu mogę dać? Taką małą pamiątkę zostawiam więc jego opiekunce. Niech pani pozwoli, żeby Ela wzięła ode mnie ten drobiazg. To przecież już nie ma wartości pieniądza! Ten pieniążek pochodzi z roku 250 przed naszą erą. To kawałeczek srebra, ale ja to pani mówię, on przynosi szczęście...

Tak więc Ela, czyli moja mama, stała się właścicielką srebrnego obola i nie rozstawała się z nim nigdy. Kiedy po wojnie rozpoczęła naukę w mieście, miała go ze sobą zawsze. A potem towarzyszył jej i na Uniwersytecie w czasie wykładów i egzaminów. Strzegła go jak oka w głowie i chociaż nieraz koleżanki namawiały ją, aby monetę sprzedała i kupiła sobie za to np. ciepły sweter lub porządne pantofle, odpowiadała:

— Nie!

Ja postąpiłabym tak samo. Takie rzeczy można darować, ale sprzedać?

Obol jest w naszej rodzinie ładnych parę lat... Jakie będą jego dalsze dzieje — nie wiadomo. Mama mówi, że teraz mnie będzie on przynosił szczęście.

— Dasz mi go naprawdę? — pytałam zdumiona, gdy powiedziała mi o tym.

— Przecież, gdy ty będziesz go miała, to tak, jak ja bym go miała!

I chyba ma rację. Na razie jeszcze srebrny pieniążek znajduje się w jej torebce. Kiedy przyjeżdża do nas babcia, prosi, aby mama wyjęła go na chwilę. Z zaciśniętym pieniążkiem w dłoni siedzi babcia chwilę. Jest wtedy zamyślona i nic nie mówi. Potem wyjmuje okulary i chwilę przygląda się pięknej Greczynce, której wizerunek nosi stara moneta.

•

NA pewno jesteście ciekawi również i historii liska — Rudka? Jest całkiem zwyczajna. Oswojony był, to prawda, ale gdy dorósł, zrobił się z niego duży lis i pewnego wieczora zapachniało mu lasem.

ANNA GRZYBOWIECKA

Rys. M. Kościelniak

Cezary Chlebowski

„NA RATUNEK CICHOCIEMNEMU" (4)

rys. J. Rocki

UDERZENIE

DO mnie „MZS" — rzuca przez ramię „Ponury", wychodząc z pokoju.

„Zaleski" wybiega za nim, a po minucie wsadza głowę przez uchylone drzwi i kiwa na „Montera", a potem zaraz wypada z domu w szalonym pośpiechu ku samochodom.

— Co się stało. Gdzie tak pędzisz? — woła za nim „Monter".

— Jedziemy, ale gazem.

— Dokąd?

— Do Warszawy.

— Do Warszawy? „Monter" aż staje ze zdumienia na środku drogi.

„MSZ" ponagla go niecierpliwymi ruchami dłoni i obaj dopadają forda. Po chwili wyciskają ze ślizgającego się po oblodzonej jezdni wozu maksymalną szybkość, są już za miastem. W szoferce panuje cisza. „Zaleski" coś przeżuwa, „Monter" więc mu nie przerywa, wie bowiem, że teraz z szefa nic nie wyciągnie. Jednak ten po dłuższej chwili z pasją wybucha:

— Cóż za dekownik! Wszystko już przygotowane, a tu naraz zjawia się sam pan komendant okręgu z Brześcia i zabrania odbicia więźnia! Że to niby zagraża bezpieczeństwu jego terenu. To niech włazi pod łóżko, tam najbezpieczniej.

— Ale co to ma wspólnego z naszą jazdą do Warszawy?

— Jak to co? Jedziemy do Komendy Głównej. Albo oni odwołają tę akcję, bo to robimy na ich rozkaz i wtedy niech to wszystko szlag trafi, albo potwierdzą swe stanowisko i wtedy niech nas pan komendant z Brześcia w nos pocałuje.

Umilkł i wtulił głowę głębiej w kołnierz kożucha. Godziny jazdy się dłużą, wloką.

Fałszywe papiery pomagają przejechać granicę na Bugu. Kierowcy są zmęczeni. Tak wymieniając się co godzina, późnym już wieczorem dojeżdżają do Warszawy.

„Monter" marzy choć o kilku godzinach snu. Chce jak najszybciej uciekać do domu, ale „MSZ" radzi inaczej:

— Pójdziemy razem. Na razie poczekaj, ja skoczę do łączniczki i za pół godziny będę z powrotem.

Kierowca kładzie się więc na siedzeniu forda i postanawia czekać na szefa. Zdawało mu się, że spał pięć minut, gdy silne szarpnięcie wytrzęsło mu sen z głowy. Obok w szoferce siedział „MSZ".

— „Monter" benzynę już zatankowałem. Natychmiast wracamy z rozkazem do Pińska. Mam to oddać przed świtem „Ponuremu".

— Co??!! — krzyczy wściekły „Monter".

— Stary, rozumiem cię, ale sam wiesz, to rozkaz.

Po chwili wielka ciężarówka z przygaszonymi światłami pędzi przez puste ulice ku mostowi Poniatowskiego. Przez pół nocy muszą przejechać 350 km zimowej szosy. I przejechali.

Świt jest mdły, anemiczny, gdy „MSZ" bez słowa podaje rozkaz „Ponuremu". Ten, w świetle zapałki odczytuje raz i drugi jego treść, a potem z nikłym uśmiechem zbliża papier do płomienia — ogień zamienia w popiół kartkę, po którą jechali z takim trudem.

Trzydzieści oczu patrzy teraz na dowódcę. „Ponury" przeciąga się, aż trzeszczą stawy i mówi:

— Pośpijcie, chłopcy jeszcze ze trzy godziny. Od dziesiątej ostre pogotowie. Jeszcze raz objazd trasy, odprawa i o 16;55 — akcja!!!

Kończy się styczniowy dzień.

Ciężarowy ford i poprzedzający go opel grają silnikami bez zarzutu. Opel ze swymi ochronnymi kolorami i zmienionymi przed godziną numerami „POL" („Polizei") upodobnił się do dziesiątków takich samych wozów krążących teraz po mieście. Przy kierownicy siedzi „MSZ", obok niego „SS" w mundurze SS-mana, z tyłu zaś „Ponury" i „Jurek". W szoferce poza „Monterem" tkwi tylko jego młody pomocnik — „Pakunek".

Jest punktualnie 17.00 gdy opel zatrzymuje się pół metra przed okutą bramą więzienia. „MSZ" huczy silnikiem wozu głośniej. „Ponury" zaś sprawdza wzrokiem, czy za załomem bramy są już dwaj jego żołnierze — „Wrona" i „Płomień". Zarys ciemnych sylwetek we wnęce uspokaja go. Tymczasem białoruski strażnik przez judasza bacznie lustruje samochód. Oficer w mundurze SS uchyla drzwiczki wozu i wystawiwszy wysoką siodełkowatą czapkę, niecierpliwym krzykiem ponagla wartownika obserwującego ich przez judasza. Skutek jest natychmiastowy — chwile chrobocząc klucze, zasuwy i ciężkie wrota uchylają się. Opel wtacza się na waskie podwórko, a za nim przemykają dwaj żołnierze w pelerynach kryjących steny. Wartownik ich jeszcze nie widzi, bo całą jego uwagę pochłonął samochód. Z wozu tymczasem wysiada oficer SS. „Ponury" w lisiej czapie i „Jurek" w nieodłącznej cyklistówce. Widok dziwnie ubranych cywilów niepokoi wartownika, dlatego też gdy „Jurek" poleca mu po rosyjsku:

— Idi ko wtarym worotam i skaży czlob ani ich otkryli — odpowiada buntowniczo, sięgając po karabin.

— Nie choczu.

„Jurek" ma już w ręku pistolet. Strzał z kolta jest cichy i celny. Wartownik bez słowa osuwa się w śnieg. „Płomień" i „Wrona" wpadają na wartownię, terroryzując i rozbrajając siedzących tam strażników. Pierwsza brama opanowana. Szybko siadają do opla i „MSZ" prowadzi wóz ku drugiej bramie. Tu sytuacja się powtarza, wysunięta czapka SS-mana z samochodu i ostry krzyk, działają niezawodnie. I te wrota otwierają się przed oplem bez oporu. „Ponury" z niepokojem obserwuje teraz trzecią, ostatnią przeszkodę — metalową kratę. Jest 17.10.

Co w czasie tych 10 minut robiły pozostałe grupy?

Punktualnie o 17.00 patrole „Drucika" na słupolazach poprzecinały wszystkie przewody telefoniczne w promieniu 5 km, a ich szef wybuchem w studzience telekomunikacyjnej unieruchomił wszystkie instalacje.

Grupa druga pod dowództwem „Czarki" po przeskoczeniu płotu punktualnie o godz 17.00 zaatakowała od ulicy Cegielnianej południową część budynku komendantury więzienia.

„Kra" stoi za rogiem budynku i pistoletem maszynowym ukrytym pod szeroką peleryną ubezpiecza działanie kolegów, podczas gdy „Jastrząb" oseka zrywa przewody telefoniczne, prowadzące wprost z biura do budynku żandarmerii. „Czarka" i „Dzik" wpadają do kancelarii z pistoletami w dłoniach, ale wszystkie pomieszczenia w tej części gmachu są puste. W myśl rozkazu biegną do drugiej bramy i w cieniu wjeżdżającego akurat opla dopadają strażnika.

Punktualnie o godz. 17.00 również grupa „Kawy" forsuje płot od Cegielnianej i przystępuje do akcji. Ich zadanie polega na opanowaniu północnego skrzydła budynku kancelaryjnego, tam gdzie mieści się gabinet komendanta Hellingera oraz mieszkanie jego i zastępcy, zatwardziałego hitlerowca i oprawcy więziennego o ponurej sławie — Zelnera. Z tej grupy „Dym" zostaje na rogu budynku ze stenem na ubezpieczeniu zaś „Kawa" z drugim pistoletem maszynowym oraz „Kmicic" i „Ryks" z koltami, skradają się ciemnym korytarzem.

Dochodzą wreszcie do drzwi, zza których słychać przytłumiony szmer rozmowy. Ilu ludzi jest w środku? Czy komendant i jego zastępca są sami? Nie ma czasu na zastanawianie się. „Ryks" naciska wolno klamkę, a „Kawa" i „Kmicic" szturmują równocześnie ramionami drzwi. Wpadają do pokoju i światło oślepia ich na moment. „Kawa" krzyczy:

— Hände hoch! Oddać wszystkie klucze, a gwarantujemy wam życie.

Obaj Niemcy posłusznie podnoszą ręce. Zelner ma broń w kaburze, komendant zaś jest w ogóle bez pasa. „Ryks" i „Kmicic" podchodzą do nich po klucze. W rękach ściskają kolty. Zelner kieruje się ku szafce, aby spełnić rozkaz, naraz błyskawicznie się odwraca i potężnym pchnięciem rzuca zaskoczonego „Ryksa" na „Kawę". Jednocześnie wyrywa parabelkę z kabury i strzela do zdumionego chłopca. Kieruje lufę ku „Kawie" ale jazgotliwa seria stena jest szybsza. Niemiec łapie się za brzuch i osuwa się na podłogę w kałuży krwi.

Tymczasem Hellinger wykorzystując zamieszanie wpada do drugiego pokoju i biegnie do szafy, gdzie stoją karabiny. Strzały z „Kmicicowego" kolta rozciągają go tu na miejscu.

Wypadają na korytarz i teraz ile sił w nogach pędzą do wieżyczki obserwacyjnej na rogu ulicy Pawłowskiej. Schodki zbudowane od zewnątrz, aby uchronić strażników od ataku w wypadku buntu więźniów, ułatwiają im dotarcie tam w ciągu minuty. Wieżyczka jest pusta, strażnik tu przyjdzie dopiero za niecałą godzinę. „Kawa" mocuje do słupa sznur z węzłami i jak duchy jeden za drugim czterech żołnierzy w milczeniu spływa na więzienny podwórzec. Pod potężnym płotem, wykorzystując jego głęboki cień, skradają się do trzeciej, ostatniej przeszkody — metalowej kraty. Krótkie pukanie w drzwi wartowni wywołuje pełne niezadowolenia gderanie wartownika. Gdy otwiera drzwi, oślepia go błysk latarki, a silne męskie ramiona kneblują i wgniatają w śnieg. „Kmicic" i „Dym" rozbrajają dwóch siedzących w wartowni ludzi, a „Kawa" miga latarką w kierunku bramy drugiej. Odpowiada mu umowny sygnał „Ponurego".

Jest 17.10. Droga do celu wolna.

Cdn.

GWIAZDY BIG—BEATU I PIOSENKI

Edyta Piecha niejednokrotnie już odwiedzała Polskę. To zdjęcie wykonano pieśniarce w czasie zwiedzania Warszawy.

EDYTA i „DRUŻBA"

TEN popularny radziecki zespół wokalno-instrumentalny wraz z solistką Edytą Piecha dobrze jest znany polskiej publiczności. Ich popularność w naszym kraju została ugruntowana poprzez liczne nagrania płytowe, radiowe audycje, a także koncerty estradowe i telewizyjne.

„Drużba" jest w tej chwili jednym z najlepszych zespołów radzieckich. Wyróżnia się własnym, odrębnym stylem wykonawczym. Można go śmiało zaliczyć do oryginalnego „teatru piosenki" o bogatym repertuarze melodii lirycznych, big-beatowych, poetyckich, balladowych, twistowych, żołnierskich, ludowych.

Zalążkiem zespołu był, utworzony przed 10 laty przez studentów Konserwatorium Leningradzkiego, niewielki amatorski chór złożony ze studentów różnej narodowości i kierowany przez Aleksandra Broniewickiego.

Ten międzynarodowy skład zadecydował o wyborze nazwy „Drużba" (Przyjaźń). Program, który przygotowali ci młodzi artyści na VI Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Moskwie w 1957 roku, przyniósł im I nagrodę i ogromne uznanie w całym Związku Radzieckim. To powodzenie zadecydowało, że wkrótce chór przekształcił się w zespół zawodowy.

A jak było z jedyną kobietą w zespole; utalentowaną, obdarzoną pięknym głosem i osobistym urokiem — Edytą Piecha?

Otóż Edyta Piecha urodziła się we Francji w rodzinie polskiego górnika. Wkrótce po wojnie (gdy miała 9 lat) przeniosła się z rodzicami do kraju i zamieszkała w Wałbrzychu. Tam ukończyła szkołę podstawową i Liceum Pedagogiczne. W 1955 roku Edyta Piecha wyjechała do Leningradu na studia uniwersyteckie. Podczas studiów zaczęła występować jako solistka w chórze polskich studentów, a po jakimś czasie przeniosła się do międzynarodowego zespołu „Drużba". Tam zdobyła nie tylko sławę, ale także i męża, w osobie kierownika zespołu, Aleksandra Broniewickiego.

Od tamtego czasu minęło 10 lat. Edyta Piecha pozostała na stałe w ZSRR i nieprzerwanie występuje w zespole, doskonaląc się muzycznie pod kierunkiem swego męża, uzdolnionego pianisty.

Popularność pani Edyty i „Drużby" już dawno przekroczyła granice Kraju Rad. Poza Polską występowali oni w NRD, Czechosłowacji i we Francji.

Na pytanie: jakie piosenki ze swego repertuaru uważa za ulubione, Edyta Piecha odpowiedziała:

— Specjalnie lubię piosenki nastrojowe o poetyckich tekstach. Do takich zaliczam melodię skomponowaną przez mego męża pt. „Kocham" oraz „Moja mama mieszka daleko". Tę ostatnią piosenkę uważam trochę za autobiograficzną, bowiem mam matkę, która mieszka w Polsce. Rozumiem moją matkę, czekającą na moje listy. Sama jestem matką 6-letniej córeczki i w przyszłości być może i ja będę daleko od niej i też będę czekać na jej listy...

— Z piosenek weselszych chętnie śpiewam piosenkę w stylu „ye, ye" o małym miasteczku na Ałtaju, „Manżerok", japońską big-beatową „Dobry humor" oraz włoską z repertuaru Marino Mariniego „Molte volte" (Dużo razy). Te ostatnie dwie piosenki zwykle śpiewa ze mną cała publiczność. W Polsce śpiewałam wszystkie piosenki wymienione, a także wiele innych jak: „Nic nie widzę", „Wełniany żakiet", czy też po polsku „Walentyna twist" oraz „Serce w plecaku".

Z piosenek utalentowanych 7 chłopców z zespołu „Drużba" warto wymienić zwłaszcza „Zimny wiatr" (śpiewa solista Cygan Jurij Czwanow), „Sobota" (śpiewa Estończyk Toivo Sooster) oraz big-beatową piosenkę o gwieździe „Alta-ir" w brawurowym wykonaniu kompozytora melodii i autora tekstu w jednej osobie — Anatola Korolewa. Do świetnych solistów „Drużby" należy także Bogdan Wiwczarowski (melodie ukraińskie) oraz Borys Agieszyn (pantomima).

A. WIELGOŁAWSKA

Zespół „Drużba" cieszy się zasłużonym powodzeniem nie tylko w kraju, ale i za granicą. Nazywają go „teatrem piosenki" ze względu na ogromną różnorodność repertuaru.
Foto: M. Sieczkowski oraz CAF

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

ROZWIĄZANIE LABIRYNTU Z NUMERU 104

„Najlepszym podarunkiem na gwiazdkę jest książka".

Nagrody książkowe wylosowali: Tadeusz Kunysz — Malawa 143; pow. Rzeszów; Barbara Przybylska — Konin, ul. Mickiewicza 20; Henryk Jurczyk — Radlin II, ul. Rybnicka 71; Bogusław Foltyński — Rumia, ul. Gdańska 27; Wanda Marszycka — Choszczno, ul. Dąbrowszczaków 23 — 6; Waldemar Brzozowski — Motylewo 33, pow. Gorzów Wlkp.; Ewa Witkowska — Sochaczew, ul. Warszawska 84 — 13; Leon Woźniak — Koszalin, ul. Bałtycka 8-7; Teresa Łydka — Bytom Odrzański, ul. Poprzeczna 10 — 1; Zdzisław Heruzanowicz — Goleniów, ul. Sienkiewicza 8.

ROZWIĄZANIE KOMBINATKI Z NUMERU 104

Do siego roku,

Nagrody książkowe wylosowali: Jerzy Zabłocki — Lututów, ul. Rynek 21; Andrzej Czarnecki — Waplewo Wielkie, pow. Sztum; Elżbieta Karkut — Nowa Dęba, ul. 1-go Maja 2 — 10; Stefania Twardowska — Ulalina, ul. Korfantego 4, pow. Opole; Jerzy Krystek — Wieleń Północ. ul. Daszyńskiego 5; Mariusz Buczma — Nowogród, ul. Kościuszki 55; Wojciech Mozer — Kępice, ul. Świerczewskiego 6; Anna Warzała — Niedomice 124, pow. Tarnów; Jadwiga Maciejewska — Bożewo, pow. Sierpc; Zbigniew Bujak — Słupsk, ul. Aleksandra Zawadzkiego 3—33.

Kto wylosował nagrody PZU?

ROZWIĄZANIE ELIMINATKI OBRAZKOWEJ PZU Z NUMERU 4.

Tylko na lodowiskach ślizgasz się bezpiecznie.

Nagrody wylosowali:

BUDZIK

Wiesława Mońkowska — Pełnskie, pta Krypno, woj. Białystok.

KOMPLET NARZĘDZI DO MAJSTERKOWANIA

Stanisław Adamski — Lipowiec, pow. Mława, woj. Warszawa.

DIASKOP

Barbara Szymanek — Brzozowice-Kamień, ul. Piekarska 10, woj. Katowice.

SANKI

Roman Wis — Jasień 98, pta Brzesko, woj. Kraków.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NUMERU 2

Wyrazy poziomo: Siostra, koszmar, Rauogost, szarada, parawan, meta, ataman, sprawa, Ankara, kwarta, włos, torpeda, okleina, paszkwil, kramarz, Alabama.

Wyrazy pionowo: sosna, Oława, trasa, rad, Adam, kopa, osa, strop, mówka, (pomyłka w określeniu), renta, tran, mewa, nota, smok, Raba, wolt, Artek, korba, rzepa, willa, ruina, Akaba, wasz, sowa, dar, kil.

Nagrody książkowe wylosowali:

Teresa Martyniak — Solec-Zdrój, pow. Busko-Zdrój; Janusz Szuster — Strzeszkowice, pow. Bełżyce; Sławomir Wysocki — Pustków—Osiedle 49/14, pow. Dębica; Maria Ryś — Kraków, ul. Sienkiewicza 28 m. 3; Felicja Tuszer — Starzyno, pow. Puck; Jan Oleszczuk — Tomaszów Lubelski, oś. Brygady 6/11; Elżbieta Wira — Chmielnik, ul. Obr. Stalingradu bl. 6/11; Włodzimierz Felisiak — Łódź, ul. Nawrot 32 m. 27; Hanna Paszkiewicz — Toruń 1, ul. Grudziądzka 12 m. 16; Grzegorz Kubisiak — Szczawno-Zdrój, ul. Sienkiewicza 28 m. 3.

W EŁKU DZIEŃ BABCI

ZBLIŻAŁA się godzina 14.00. Pan Franciszek Osada — kierownik Domu Kultury, drżał ze zdenerwowania. „Przyjdą? Spóźnią się? Może pomyślą, że żartowaliśmy?"

Wszystko było już przygotowane. Stoliki przykryte obrusami, ustawiono słodycze, w kancelarii gotowała się woda na herbatę. Harcerze przed godziną rozbiegli się po mieście z adresami. Każdy miał za zadanie przyprowadzić na uroczystość jedną babcię.

Pan Osada układał już w myśli awaryjny plan — jeśli babcie nie przyjdą, to chyba musimy z naszymi upominkami i kwiatami dotrzeć do nich. Po chwili okazało się jednak, że awaryjny plan nie doczeka się realizacji. Otworzyły się drzwi i pan kierownik w towarzystwie harcerek, ubranych w mundurki witał już pierwszych gości. W miarę jak zbliżała się godzina 14.00 co kilkanaście sekund otwierały się drzwi i wchodziły, prowadzone przez harcerzy, babcie. Sala zapełniała się.

Na sali było prawie 150 starszych pań (prawie wszystkie babcie z Ełku). Te, które chorowały lub nie mogły przyjść na uroczystość, a było ich zaledwie kilka, upominki i kwiaty otrzymały w domu. Zanieśli je harcerze.

PODARUNEK OGRODNIKA

NA schodach zadudniły kroki. Kilku chłopców niosąc przed sobą wielkie pakunki o nieznanej zawartości, przemknęło koło szatni prosto do gabinetu kierownika, który tymczasem przestał się już denerwować, bo wszystko wskazywało na to, że święto uda się na medal... ściślej mówiąc — uda się tak jak je zaplanowali.

Chłopcy położyli wysokie pakunki na stołach, odpięli szpilki i zdjęli papier. Oczom zebranych ukazały się piękne, małe bukieciki alpejskich fiołków owiniętych w celofan.

— To podarunek ogrodnika — powiedział jeden z zadyszanych harcerzy!

— 50 bukiecików — wykrztusił drugi zadyszany.

Rozłożone bukiety wyglądały na stole jak kawał wiosennej łąki. Taki prezent sprawił babciom miejscowy ogrodnik — pan Grala.

SZATNIARZ O UŚMIECHNIĘTEJ TWARZY

TYMCZASEM w szatni niepodzielnie panował Krzysiek Arsenowicz. Każda babcia otrzymywała od niego serdeczny, służbowy uśmiech i już po chwili szarmanckim gestem „szatniarz" zdejmował z niej płaszcz, wieszał go i oznajmiał:

— Uprzejmie dziękuję, prosimy na salę. Bardzo proszę, kto jeszcze!

Taki stosunek do gości mógł ich tylko dobrze usposobić. Babcie odchodziły więc uśmiechnięte i zadowolone. Krzysiek zaś porządkował swoje „królestwo".

CIEPŁE PRZEMÓWIENIE

NA sali panował gwar. Babcie zdążyły zawrzeć już nowe znajomości i rozmawiając popijały herbatę. Nastąpił uroczysty moment. Jeden z organizatorów święta — zastępca przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej — pan Bolesław Kudiura, zabrał głos i wygłosił chyba jedno z najcieplejszych w swoim życiu przemówień. Mówił, że całe miasto chce babciom przypomnieć, że pamięta o nich, że myśli się nawet o założeniu dla nich „Klubu Złotego Wieku". Przemówienie było krótkie, a zaraz potem na scenę wkroczył zespół taneczny z piękną „polką warszawską".

Zespół taneczny zrobił chyba największą furorę, a chłopcy w garniturach w kratkę wywoływali wielkie brawa i wiele bisów.

WIERSZE, PIOSENKI I TAŃCE

PRZEZ scenę przewijały się teraz kolorowe stroje, kwiaty. Po skocznej polce solistka śpiewała pieśń „O matce". A potem recytowano wiersze Gałczyńskiego — nastrojowe, przy elektrycznej lampce, w półmroku. Wszyscy bili brawo i bisowali. Między jednym tańcem, a drugim wręczano upominki.

CAŁE MIASTO SWOIM MIESZKANKOM

UPOMINKI ufundowało naprawdę całe miasto. Kiedy organizatorzy oznajmili, że ogłaszają Dzień Babci, wszyscy chcieli się jakoś przyłożyć i pomóc, powiedzieć, że i oni pamiętają o swoich starszych mieszkankach.

Zakład Zieleni dał kwiaty, również pan Grala pamiętał o święcie. Szkoła Odzieżowa wykonała śliczne chusteczki i fartuszki. PSS dała herbatę i ciastka, przyłożyła się spółdzielnia „Elczanka", nawet wiersze na Dzień Babci pisane były przez miejscowych mistrzów pióra. No i oczywiście pamiętały o babciach dzieci — rysowały zaproszenia, plakaty, dekorowały salę, roznosiły zaproszenia, przyprowadzały i odprowadzały babcie.

*

Kiedy jechałem do Ełku, myślałem, że tylko tam świętować będą Dzień Babci. Okazało się jednak, że podobne święto dla swoich babć urządzili mieszkańcy Krakowa. Sądzimy też, że i u was pamiętano o tej uroczystości. Jeśli nie, to na razie spalcie się ze wstydu a potem radzimy szybko nadrobić zaległości. Kiedy Dzień Babci będzie już datą ustaloną przez wszystkich, tak jak Dzień Kobiet, czy Dzień Dziecka, wówczas z pewnością pamiętać będą o nim nie tylko mieszkańcy Ełku i Krakowa.

WIESŁAW HUDON
Zdjęcia autora

Pani Zofia Grala — żona ogrodnika, szykuje kwiaty dla babć.

Krzysiek Arsenowicz — zastępowy 24 drużyny harcerzy, jako szatniarz odegrał swoją rolę na piątkę. Był elegancki, grzeczny i załatwiał gości w kosmicznym tempie.

ŚWIAT MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół: Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21 15 61. Sekretarz redakcji — 28-77-21 Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", WARSZAWA, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.08, kwartalna 12.06. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Zam 79 T—40

Adres redakcji
WARSZAWA
ul. Mokotowska 24